

Łoża Bałwo-Wojtkiewicz ul. Żurawa 31

Wywiad przeprowadzony 10.07.89

RELACJA ZA LATA 1940-1946

Nazywam się Łoża Bałwo-Wojtkiewicz, jestem z zawodu stomałdopierem. Urodziłam się 17.04.1929 roku w Wotkowysku. Było to około 30 km od ^{obecnego} granicy. Wywodzę się z rodziny inteligentnej. Mój ojciec - Czesław - pracował jako główny księgowy a matka - Waleria - nie pracowała zawodowo, a zajmowała się domem. Byliśmy rodziną esmirtną.

Gdy miałam 10 lat, rozpoczęła się wojna. Wtedy też przestaliśmy chodzić do szkoły.

Jeżeli chodzi o warunki, jedzenia jencie było dość dużo i z zaopatrzeniem nie było większych problemów. Bał więc do wywołki nie cierpiałam głodu.

~~W~~ Nie pamiętam wejścia Armii Czerwonej, ale słyszałam że młode żydowskie kobiety żołnierscy radzieccy kuratami. Pamiętam natomiast, że mówiono, żeby chować się, bo były psychodny Rosjanie, to wyszkie zakierają. Byłam wtedy po 1-nej komunii 50 i zawsze słyszałam sągardzi, aby mi go nie zabrali.

Cyba w 1940-tych mój ojciec został aresztowany. Należał do jakiejs organizacji politycznej, ale nie wiem jakiej. Wtedy też mama zabrala mnie i moje siostry i wyjechałyśmy do rodziny w okolicy przed aresztowaniem.

Żyli tam wśródnie, ~~po~~ ^w całej rodzinie. W końcu, znaleźli nas 18 km od miasta u ciolki. Było to 21.06.1941 roku. 1940 Wskazyli nas do wagonów, ale się było lato. Mielisamy se sobą trochę żywności i rzeczy, bo powiedziano nam pójsc do domu i wrózc je. Stało się tak dziwnie Polakom, którzy

Pamiętam sobie, że gdy jeniec podróżował pociągiem widać było, co robiono ze wózekami ludzi, którzy bardzo wielu umierało z głodu, chłodu i wycieńczenia.

Ciałami nikt się nie zajmował. Po prostu wyrzucano je z pociągu i w tym miejscu, gdzie upadły - zostawały. Kiedy już dojeżdżaliśmy do Uściyżyna, okazało się, że było to miasteczko rejonowe z jedną główną ulicą wzdłuż rzeki. Nie można było się wydostać samemu stamtąd. Kdeś mi było, a gdzieś, którymś płynano na drugi brzeg, były mostki.

Jedynym dużym budynkiem, który znajdował się w miasteczku, była siedziba władz NKWD. Tubylcy natomiast byli bardzo niedźwiedzi i monotomiczni, przynajmniej głodem.

Jedynym przymiarem jawnego doświadczaliśmy tam, była śmierć kłuskiej oroby. Dla tym myśleliśmy tylko o tym, jak przetrwać do następnego dnia.

Tam także nie mieliśmy żadnych kontaktów ze światem poza nami. Nie otrzymywaliśmy też żadnej korespondencji. Nie widzieliśmy też nigdy księży (ani duchowieństwa), a praktyki religijne odbywały się we własnym zakresie.

Ludzie mieszkający w Uściyżynie menawidzili NKWD i uciekali na Niemców. Szukali na wygnanie i pomoc z ich strony.

Tam, gdzie wypadli nas pewnego dnia z barelu na pustkowiach pracowali więźniowie. Polegała ~~na~~ ^{na} pracach na ładowaniu drewna na barki. Moja mama też tam pracowała.

Gdy przyjechała, była wycieńczona, gdyż jedzenie podawane w czasie drogi było fatalne a dla tym

nie była to praca ^{złota} dla kobiet.

Zadanie gnibychi dawało, kilkumasztrometrowej długości było wymagające. Na megn było dużo i ludzie stojąc w nim musieli specjalnymi linami ładować te drewna na barki.

Przy tej właśnie pracy moja mama zachorowała.

Potem przenieśli nas do przedsiębiorstwa ja przesiadłam tam wózek z tylną lipowego, z którego także mieliśmy buty.

Krosna znajdowały się w tym samym baraku, w którym mieszkałyśmy. Na ścianie znajdowała się płyta, która miała ogrzewać całe pomieszczenie.

Kiedy, kto pracował, dostawał namie pieniądze, za które mógł wykupić pół kg chleba. Był on „upieczony” z niedopieczonego owsa z burkami i macinami. Pamiętam, że kiedyś taka dusza wzięła mi się w garść i miałam ogień. Nie było tego czym leczyć, bo nie było żadnego dostępu do lekarza i lekarstwa.

W tym okresie widziałam też jak ^{reki} przyjeżdżał transport z kałmuckami. Byli to inwalidzi wojenni. Dzieckami mężczyźni, między z bandytami na niedopieczonych ramach i na wózkach inwalidzkich.

Później słyszałam, że była wśród nich bardzo wysoka śmiertelność ze względu na małe środki higienicznych, lekarzy i pracę ponad ich siły oraz bardzo nie zdrowie.

Następne prace, jakie mi przydzielono, było łopanie gliny. Karaliśmy je z dwoma chłopcami przy przednieściorotnym murze. Dostaliśmy dużo, słabą opiekę.

Była jak wygodna, że nie miała siły ciężkiej wsiadki z gliną. Kiedy mówiliśmy, żeby daro jej jeść, dowiadujemy

waliśmy się, że to my nie będziemy pracować.
Naprawdę było ciężko. Najpierw odgarnialiśmy ziemniaki
śnieg, żeby nie zmarzło i szła do tyłu. Potem umyliśmy
komary samowarową wodę, a gdy pojawił się jeliśad
głowy, nieba było zimne js, bo kł była samowarowa,
i widać na wórze.

Wysokie te ciżmności wyfronowaliśmy w intach i tyła
lipowego, a nogi dodatkowo mieliśmy owinięte było
siłkami. Nie wiem jak to się stało, że sobie wzięli me
odmrozić.

Zarządowaliśmy wórze ogrodnicy do garncami. Tam
wymyśliśmy ~~głęb~~ ^{głęb}, zalewaliśmy ^{is} wodę i borymi stopami
defteliśmy, aby wzięła i nadawała się do wyrobienia
naczyń i garnków.

Kiedy miałam 12 czy 13 lat, bardzo mi ciężko dawało
w tajnie. Pracowałam cały dzień na wórze z mężczyźnami.
Kiedy przedstawiałam, aby trochę odpocząć, karali mi pracować,
bo mówili, że dostanę. Było samo dziecko, co oni.
Byli to sami Polacy i kilku Rosjan szarych za różne
przebiegi.

Wtedy zstancja Polacy odwołali się do siebie bardzo źle.
Pamiętała wśród nich zawiść i wrogość.

Bardzo dobre natomiast wspomnienia tubylców. Rosjanie
/opówa władci onywiście/ byli do nas nastawieni bardzo
dobrze i przychylnie. Pomagali nam, jak tylko mogli
dając jedzenie i wywierając z nami obrania.

Było to nam potrzebne, gdyż Takoo miśna było zachow-
wać, np. drogę, którym się jechało do lasu, żeby taki

względnie, że byłoby ^{na nich} mieć się ¹⁵⁰² z namiem. Ludzie natomiast musieli iść w śniegu po ryj, przez zaspy ~~z~~ po białych drogi. Pracowało się więc w mroźnych męczarniach.

Później z baraku przeniesiono nas do małej izdebki, gdzie mieszkaliśmy w 9 osób na około 12-tu m². Tam też dostałam zapalenie nerwu łukowego i lekarzom, jak i doktor na przyjeździe nie mogąc się w ogóle poradzić. Oczywiście nie było tam żadnych lekarstw. Gdyby nawet były i tak nie miałibyśmy czym zapłacić. Mieszkała tam oprócz nas cwiarka Słowackich.

Pewnego dnia moja mama dostała wezwanie do NKWD. Pošla tam i dowiedziała się, że ma dostać paszport, gdzie otrzymywała dyplomatstwo radzieckie. Na pociechu mama nie zgodziła się na to, że dzieciąta się wywiec polskiego pochodzenia. Trzymano ją wtedy w aresencie całą dobę i próbowano zmusić do przyjęcia paszportu.

Mama zgodziła się w końcu, ponieważ grozono jej, że ~~my z siostrą~~ będziemy musieli iść do domu dziecka a mamę wywiezą gdzieś daleko w głąb Rosji. Została ona wtedy tzw. prawniczką wyjazdową i kiedy jej tego gratulowano, moja mama zemstała. Potem mogło wrócić się do naszej chaty.

Po porozumieniu z białoruskim szefem wyjazdowym paszporty wyjdzie i dano kartki stwierdzające nasze polskie dyplomatstwo.

I tak, przekluczycy mamę mówili, że już nigdy nie będzie Polski i już nigdy nie będzie Polki. Dawili jej, że nie chciała przejść dyplomatstwa radzieckiego.

Taki więc byliśmy Polakami, potem Rosjanami /w/g paszportu/
i potem znów Polakami.

Chcieliśmy wtedy opuścić Uściugę, ale nie mogliśmy nigdzie
dostać na żaden statku. Z pomocą bratem jedliśmy masę
ludzi do Taslientu, gdzie broniono Armii Andersa.

Bardzo wielu z nich zmarło tam z powodu nagłej
zmiany klimatu i długotrwałego wycieńczenia i chorób.

Zostałam zatem w Uściugie. Gdy wydomowiałam
po owym zapaleniu nerwu łukowego, naselnicza
naszego domu zabrała mnie do szpitalu, gdzie robiono
mi dentachy. Robiłam wtedy też wetry dla kubyłców
z ich wetry, za co też coś otrzymywałam.

Była to "bardzo dobra" praca, gdyż nie było tam tak
zimno jak poprzednio.

Zanimki moje jednak były małe, a za te pieniądze
nie można było nic kupić. W sklepie, jedynym w całej wsi,
nie było nic oprócz soli.

Tam pracowałam do 1945-go roku. Potem przeniesiono nas
na Ukrainę do Siemur niedaleko Poltawy Leżąc najpierw zabrano nas
na 2 tygodnie do kwaterunku w
Omsku.

Był to kochanek, w którym zajmował się nami pewien czo-
wiel, który zaparkował nas w łaz, dlatek i mgła.

Wzaniem za k racje żywnościowe, niebył obfite, które
długotrwałyśmy, trzeba było pracować na polu.

Pracowałyśmy przy żniwach oraz pomagałyśmy w różnego
rodzaju pracach polowych.

W 1946 roku przyjechał do Siemur pewien oficer
Armii Ludowej i zorganizował transport do Polski ludzi,
którzy w jakiś sposób znaleźli się na terenie Związku

Radnieckiego w czasie wojny.

W tym transporcie byli ludzie nie tylko z mojego domu, ale i z innych radnieckich miejscowości, gdzie byli przymuszani.

~~Nie pojedaliśmy od razu do Polski. Zabrano nas najpierw do Austrii na 2 tygodnie przesiedlania.~~

Pamiętam, że wtedy mamyłam tylko o tym, aby po powrocie do Polski mieć się do syta chleba, ziemniaków i mięsa się mleka.

Nawie cały nasz transport przyjechał do Wrocławia i tutaj został. Również we Wrocławiu znalazł się ojciec dopiero wtedy dowiedziawszy się o jego losach.

W aresztowaniu w 1940-ym przebywał w więzieniu w różnych warunkach. Tuż przed nadejściem frontu niemieckiego Rosjanie zaczęli ewakuować wszystkich więźniów.

Ubrzyli ludność i obczyli je funkcjonariuszami NKWD. Przewadzi ich na stację, gdzie mieli być eskortowani do jakichś innych miejsc.

W pewnej chwili nad ludność nadleciały niemieckie samoloty i zaczęły ostrzeliwać je. Wtedy właśnie mój ojciec skorzystał z okazji i ranny zaczął uciekać. Wycierpany dobiegł do pierwszej wodli, w której ukrył się.

Potem przekroczył granicę i do końca wojny przetrwał w ukryciu. Wszystkie doświadczenia wojenne wpłynęły niekorzystnie na jego zdrowie. Zmarł mając 63 lata.

W czasie mojej podróży do Polski na pierwszej stacji widziałam jeńców niemieckich. Zmarli oni jakby odpadli na torach. Wyglądali strasznie. Byli bledni i wyjeżdżali.

Kiedy transport wrócił do Wrocławia, ludzi przetransportowano
po całym województwie rekawakrowując w wolnych miejscowościach.
Ja nie miałam transportu z delimitacją i kontaktami
z innymi ludźmi. Przymawiali mi więcej psychologicznie.
Jedynym transportem jaki miałam, który miał wigręli
z moim losem wojennym, było staranie na studia.
Zdawałam na Akademię Medyczną i nie zostałam przyjęta
mimo że zdałam bardzo dobre egzaminy.

Słuchałam mi z listy handylatorów za to, że miałam
doświadczenia wigrane z wyprawy na Sybir i byłam
reprezentowana przez Sometów.

Potem przez znajomą dowiedziałam się o tym i dzięki niej
udało mi się uzyskać przyjęcie na wydział uczenia.

Pora tym nigdy nie mogłam napisać w tym czasie, że
zostałam gwałtownie wywieziona.

Do przyjeździe do Polski wyszła, co zdarzało się,
było trudne, ale nie było mi do polowania. Żadne
sytuacje nie były beznadziejne, bo w czasie wojny wiele
przeżyłam i musiałam dawać sobie radę w bardzo
ciężkich warunkach.

Już teraz nic mi nie przeszkadza, chociaż wiele osób lamentuje,
co to będzie, i chociaż wyszła przeżywałam wtedy mniej,
bo byłam jeszcze dzieckiem. Były to jednak doświadczenia
właściwie, by można o nich wspomnieć.

Wiem przecież, że moi znajomi byli wywiezieni, podobnie jak
ja na Sybir i tam też wielu z nich zmarło;
Dalema i Stefan Ciomghare i syn pani Macieny

Joanna Histrach
Mateusz Hilget

RELACJA ZA LATA 1940-1946

Nazywam się Zofia Batko-Wojtkiewicz; jestem z zawodu stomatologiem. Urodziłam się 17.4.1929 r. w Wólkowysku. Było to około 30 km od obecnej granicy. Wywodzę się z rodziny inteligenckiej. Mój ojciec, Czesław, pracował jako główny księgowy, a matka, Waleria, nie pracowała zawodowo, zajmowała się domem. Byliśmy rodziną zamożną.

Gdy miałam 10 lat, rozpoczęła się wojna. Wtedy też przestałam chodzić do szkoły. Jeżeli chodzi o warunki, jedzenia było jeszcze dość dużo i z zaopatrzeniem nie było większych kłopotów. Tak więc do wywózki nie cierpiałam głodu.

Nie pamiętam wejścia Armii Czerwonej, ale słyszałam, że młode Żydówki witały żołnierzy radzieckich kwiatami. Pamiętam natomiast, że mówiono, żeby chować zegarki, bo gdy przyjdą Rosjanie, to wszystkie zabierają. Byłam wtedy po I-szej komunii św. i zawsze chowałam zegarek, aby mi go nie zabrali.

Chyba w 1940 r. mój ojciec został aresztowany. Należał do jakiejś organizacji politycznej, ale nie wiem jakiej. Wtedy też mama zabrała mnie i siostrę moją i wyjechałyśmy do rodziny w obawie przed aresztowaniem.

Szukali nas wszędzie, wśród całej rodziny. W końcu znaleźli nas 18 km od miasta u ciotki. Było to 21 czerwca ~~1940~~ roku. 1941. Wtłoczyli nas do wagonów, ile się tylko dało. Mieliśmy ze sobą trochę żywności i rzeczy, bo pozwolono nam pójść do domu i wziąć je. Stało się tak dzięki Polakom, którzy byli w brygadzie, która nas aresztowała. Współpracowali oni z Rosjanami. Sporo jednak rzeczy zginęło nam w czasie podróży, ponieważ ciągle nas mieszano z innymi więźniami, abyśmy za długo nie przebywali z tymi samymi ludźmi.

Jechaliśmy 19 dni w strasznym upale. Dawano nam jeść i pić do kilka dni. Poza postojami na rozdanie wody i żywności pociąg w ogóle nie zatrzymywał się. Pierwszy raz, po kilku dniach jazdy, przyniesiono nam zupę. Była tak ohydna, że nikt jej nie tknął. Potem, gdy byliśmy już bardzo głodni, jedliśmy wszystko, co nam przyniesiono.

Nareszcie znalazłyśmy się w Omsku. Pamiętam z podróży, że w Mińsku było straszne bombardowanie.

Wyładowali nas na ogromnej stacji i zaprowadzili do cyrku. Była to stara, bardzo piękna, przerobiona na cyrk cerkiew. W środku była arena i ustawione wokół ławki dla widzów. Było tam strasznie ciasno. Stłoczono tam kilka tysięcy ludzi. Sporo osób z mojego transportu nie zmieściło się nawet do tego cyrku, tylko stali naokoło. Byli tam ze mną: Maria Cwajda, Tadeusz Sokółowski i Krystyna Nedwecka.

Pewnego dnia otworzyła się brama pomieszczenia, w którym nas przetrzymywano. Wpuścili tam psy i zaczęli załadowywać nas na barki, duże, kryte łodzie. Płynęliśmy Irtyszem w stronę Tobolska. Dotarliśmy do takiej miejscowości tam, gdzie Irtysz wpada do Irtyszu. Był to Uściszym. Nasza podróż trwała 10 dni.

Przypominam sobie, że gdy jeszcze podróżowałam pociągiem widziałam, co robiono ze zwłokami ludzi, których bardzo wielu umierało z głodu, chorób i wycieńczenia. Ciało nikt się nie przejmował. Po prostu wyrzucano je z pociągu i w tym miejscu, gdzie upadły, zostawały.

Kiedy już dotarliśmy do Uściszymia, okazało się, że było to miasteczko rejonowe z jedną główną ulicą wzdłuż rzeki. Nie można było się samemu wydostać stamtąd. Kolei nie było, a łodzie, którymi pływano na drugi brzeg, były rzadkością. Jedynym dużym budynkiem, który znajdował się w miasteczku, była siedziba władz NKWD. Tubylcy natomiast żyli bardzo nędznie i monotannie, przymierając głodem. Jedynym przeżyciem, jakiego doświadczyliśmy tam, była śmierć bliskiej osoby. Poza tym myśleliśmy tylko o tym, jak przeżyć do następnego dnia. Tam także nie mieliśmy żadnych kontaktów ze światem poza rzeką. Nie otrzymywałyśmy też żadnej korespondencji. Nie widziałam też nigdy księży, praktyki religijne odbywały się we własnym zakresie. Ludzie mieszkający w Uściszymie nienawidzili NKWD i czekali na Niemców. Liczyli na wyzwolenie i pomoc z ich strony.

Tam, gdzie wysadzili nas pierwszego dnia z barek na przystań, pracowali więźniowie. Ich praca polegała na ładowaniu drzewa na barki. Moja mama też tam pracowała. Gdy przyjechała, była wycieńczona, gdyż jedzenie podawane w czasie drogi było fatalne, a poza tym nie była to praca właściwa dla kobiet. Ładowanie grubych drzew, kilkunastometrowej długości, było wykańczające. Na brzegu było błoto i ludzie stojąc w nim musieli specjalnymi kijami ładować te drzewa na barki. Przy tej pracy właśnie moja mama zachorowała.

Potem przenieśli nas do przędzalni. Ja przędłam tam worki z łyka lipowego, z którego także mieliśmy buty. Krosna znajdowały się w tym samym baraku, w którym mieszkaliśmy. Na środku znajdowała się płyta, która miała ogrzewać całe pomieszczenie. Każdy kto pracował, dostawał marne pieniądze, za które mógł wykupić pół kilograma chleba. Był on "upieczony" z niedobrego owsa z łupinami i trocinami. Pamiętam, że kiedyś taka kruska wbiła mi się w gardło i miałam ropień. Nie było tego czym leczyć, bo nie było żadnego dostępu do lekarza i lekarstw.

W tym okresie widziałam też jak rzeką płynął transport z Kałmukami. Byli to inwalidzi wojenni. Okaleczeni mężczyźni, niekiedy z bandażami na niedogojonych ranach i na wózkach inwalidzkich. Później słyszałam, że była wśród nich bardzo wysoka śmiertelność ze względu na brak środków leczniczych i higienicznych oraz pracę ponad siły i bardzo złe jedzenie.

Następną pracą, jaką mi przydzielono, było kopanie gliny. Kopałam ją z dwoma chłopcami przy pięćdziesięciostopniowym mrozie. Dostaliśmy suchą i słabą szkapinę. Była tak wyglodzona, że nie miała siły ciągnąć wózka z gliną. Kiedy mówiliśmy, że bydano jej jeść, dowiadywaliśmy się, że to my nie chcemy pracować. Naprawdę było ciężko. Najpierw odgarnialiśmy zmrożony śnieg, który nierzadko sięgał do szyi. Potem kruszyliśmy łopatkami zamrożoną ziemię, a gdy pojawił się pokład gliny, trzeba było kruszyć ją, bo też była zamrożona, i wrzucać na wózek. Wszystkie te czynności wykonywaliśmy w butach z łyka lipowego, a nogi dodatkowo mieliśmy owinięte tylko szmatami. Nie wiem, jak to się stało, że ich nie odmroziłam. Załadowany wózek ciągnęliśmy do garncarni. Tam wyrzucaliśmy glinę, zalewaliśmy ją wodą i bosymi stopami deptaliśmy, aby zmiękła i nadawała się do wyrabiania naczyń i garnków.

Kiedy miałam 12 czy 13 lat, kazano mi rębać drzewa w tajdze. Pracowałam cały dzień na równi z mężczyznami. Kiedy przystawałam, aby odpocząć, kazali mi pracować, bo mówili, że dostanę tyle samo chleba, co oni. Byli to sami Polacy i kilku Rosjan skazanych za różne przestępstwa.

Wtedy zwłaszcza Polacy odnosili się do siebie bardzo źle. Panowała wśród nich zawiść i wrogość. Bardzo dobrze natomiast wspominam tubylców. Rosjanie /oprócz władz oczywiście/ byli do nas nastawieni bardzo dobrze i przychylnie.

Pomagali nam, jak tylko mogli dając jedzenie i wymieniając z nami ubrania. Było to nam potrzebne, gdyż łatwo można było zachorować. Na przykład drogi, którymi się jechało do lasu, były tak wąskie, że mieścił się na nich tylko wóz z koniem. Ludzie natomiast musieli iść w śniegu po szyję, przez zasy, po bokach drogi. Pracowało się więc w mokrych rzeczach.

Później z baraku przeniesiono nas do małej izdebki, gdzie mieszkaliśmy w dziewięć osób na około 19 metrach kwadratowych powierzchni. Tam też dostałam zapalenia nerwu kulszowego i leżałam jak kłoda na pryczy nie mogąc się w ogóle ruszać. Oczywiście nie było tam żadnych lekarstw. Gdyby nawet były i tak nie mielibyśmy czym zapłacić.

Mieszkała tam oprócz nas czwórka Sokołowskich.

Pewnego dnia moja mama dostała wezwanie do NKWD. Poszła tam i okazało się, że ma dostać paszport, gdzie otrzymywała obywatelstwo radzieckie. Na początku mama nie zgodziła się na to, nie chciała się wyrzec polskiego pochodzenia. Trzymano ją wtedy w areszcie całą dobę i próbowano zmusić do przyjęcia paszportu. Mama zgodziła się w końcu, ponieważ grożono jej, że będzie musiała pójść do domu dziecka, a mamę wywiozą gdzieś daleko w głąb Rosji. Została ona wtedy tzw. "grażdanką" rosyjską i kiedy jej tego gratulowano, moja mama zemdliała. Potem nocą wróciliśmy do naszej chaty.

Po porozumieniu z Sikorskim zabrano wszystkim paszporty rosyjskie i dano kartki stwierdzające nasze polskie obywatelstwo. I tak, przesłuchujący mamę mówili, że już nigdy nie będzie Polki i już nigdy nie będzie Polką. Dziwili się, że nie chciała przyjąć obywatelstwa radzieckiego. Tak więc byliśmy Polkami, potem Rosjankami - według paszportu - i potem znowu Polkami.

Chciałyśmy wtedy opuścić Uściszym, ale nie mogłyśmy się dostać na żaden statek. Z północy bowiem jechała masa ludzi do Taszkientu, gdzie formowano Armię Andersa. Bardzo wielu z nich umierało tam z powodu nagłej zmiany klimatu, długotrwałego wycieńczenia i chorób.

Zostałam zatem w Uściszymie. Gdy wyzdrowiałam po owym zapaleniu nerwu kulszowego, naczelniczka naszego obozu zabrała mnie do zakładu, gdzie robiono na drutach szale. Robiłam też wtedy swetry dla tubylców z ich wełny, za co też coś otrzymywałam. Była to "bardzo dobra" praca, gdyż nie było tam tak zimno jak poprzednio.

Zarobki moje były jednak marne, a za te pieniądze nie można było nic kupić. W sklepie, jedynym na całej wsi, nie było nic oprócz soli.

Tam pracowałam do 1945 roku. Potem przewieziono nas na Ukrainę do Sieńczy, niedaleko Połtawy. Lecz najpierw zabrano nas na 2-tygodniową kwarantannę do Omska. W Sieńczy był kołchoz. Tu zajmował się nami pewien człowiek, który zaopatrywał nas w kaszę, chleb i mąkę. Wzamian za te racje żywnościowe, niezbyt obfite, które otrzymywaliśmy, trzeba było pracować na polu. Pracowałyśmy przy żniwach oraz pomagałyśmy w różnego rodzaju pracach polowych.

W 1946 roku przyjechał do Sińczy pewien oficer Armii Ludowej i zorganizował transport do Polski ludzi, którzy w jakiś sposób znaleźli się na terenie Związku Radzieckiego w czasie wojny. W tym transporcie byli ludzie nie tylko z mojego obozu, ale i z innych radzieckich miejscowości, gdzie byli przetrzymywani.

Pamiętam, że wtedy marzyłam tylko o tym, aby po powrocie do Polski najeść się do syta chleba, ziemniaków i napić się mleka.

Prawie cały nasz transport przyjechał do Wrocławia i tutaj pozostał. Również we Wrocławiu znalazłyśmy ojca i dopiero wtedy dowiedziałyśmy się o jego losach. Po aresztowaniu w 1940 roku przebywał w więzieniu w złych warunkach. Tuż przed nadejściem frontu niemieckiego Rosjanie zaczęli ewakuować wszystkich więźniów. Utworzyli kolumnę i otoczyli ją funkcjonariuszami NKWD. Prowadzili ich na stację, skąd mieli być eskortowani do jakichś innych miejsc. W pewnej chwili nad kolumnę nadleciały niemieckie samoloty i zaczęły ostrzeliwać ją. Wtedy właśnie mój ojciec skorzystał z okazji i ranny zaczął uciekać. Wyczerpany doczołgał się do jakiejś wioski, w której ukrył się. Potem przekroczył granicę i do końca wojny pozostawał w ukryciu. Wszystkie doświadczenia wojenne wpłynęły niekorzystnie na jego zdrowie. Zmarł mając 63 lata.

W czasie mojej podróży do Polski na pewnej stacji widziałam jeńców niemieckich. Zbierali oni jakieś odpadki na torach. Wyglądali strasznie. Byli brudni i wynędzniali.

Kiedy transport dotarł do Wrocławia, ludzi porozsyłano po całym województwie zakwaterowując w wolnych mieszkaniach.

Ja nie miałam kłopotów z aklimatyzacją i kontaktami z innymi ludźmi. Przyjmowali mnie raczej przychylnie. Jedynym kłopotem, jaki miałam, a który miał związek z moimi losami wojennymi, było staranie na studia. Zdawałam na Akademię Medyczną i nie zostałam przyjęta mimo, że zdałam bardzo dobrze egzamin. Skreślono mnie z listy kandydatów za to, że miałam doświadczenia związane z wywózką na Sybir i byłam represjonowana przez Sowieców. Potem przez znajomą dowiedziałam się o tym i dzięki niej udało mi się uzyskać przyjęcie na wyższą uczelnię. Poza tym nigdy nie mogłam napisać w życiorysie, że zostałam gdziekolwiek wywieziona.

Po przyjeździe do Polski wszystko, co zdarzało się, było trudne, ale nie było niedo pokonania. Żadne sytuacje nie były beznadziejne, bo w czasie wojny wiele przeżyłam i musiałam dawać sobie radę w bardzo ciężkich warunkach.

Już teraz nic mnie nie przeraża, chociaż wiele osób lamentuje, co to będzie. Chociaż wszystko przeżywałam wtedy mniej, bo byłam dzieckiem, to jednak były to doświadczenia zbyt mocne, by można o nich zapomnieć.

Wiem przecież, że moi znajomi byli wywiezieni, podobnie jak ja na Sybir i tam też wielu z nich zmarło, między innymi Waleria i Stefan Cisznykowie i syn pani Macieszy.

Zofia Batko-Wojtkiewicz

Wrocław, dnia 10.07.1989 r.